

Beata Worobiec  
(Sir B. Angel)



Krew  
Królów

Beata Worobiec  
(Sir B. Angel)

---

# Krew Królów

---

2010 rok

# Prolog

To... to działo się tak szybko... To.. to działo się tak nagle.

Niby niczego nie czułam, a jednocześnie rozrywał mnie wewnętrzny ból, jakby bomba atomowa wybuchła w moim organizmie. Nie, to było raczej jak miliony mikroskopijnych bomb skumulowanych w całym moim ciele. To uczucie mną zawładnęło. Z jednej strony czułam wyczerpanie i miałam ochotę zemdleć, niczym kiczowata bohaterka brazylijskiej telenoweli, z drugiej jednak czułam przyływ sił. Kotłowało się w mnie tysiące emocji. Masa gniewu, jeszcze więcej emocji, ale z nich wszystkich najwięcej było nadziei.

Nadziei na lepsze jutro. Nadziei na to, że dam sobie radę. Nadziei na to, że przeżyję ostateczne starcie.

Nie mogłam być pewna niczego, bo stałam przed czymś, czego siły nie byłam w stanie przewidzieć. Nikt nie był w stanie tego przewidzieć. Wiedziałam jednak, że jeśli się z tym

nie zmierzę, to będzie koniec. Nie tylko mój koniec. Koniec wszystkiego. Całego mojego świata, całego świata. Wszyscy, których kocham. Wszyscy, na których mi zależy. I wszyscy inni. Zginą. Nie mogę się poddać!

Bo wszyscy na mnie liczą. Bo choć nie wiedzą o mnie, to i tak w sercu mi kibicują. Bo choć nie odkrywam twarzy, to wiedzą, że można mi zaufać. Nie zawiodę ich zaufania! Nie mogę zawieść! Ale...

Co jeśli zawiodę? Jeśli jednak za dużo się objęłam, kiedy powinnam trenować? Co jeśli okaże się... za słaba? Na litość boską, jestem jeszcze dzieckiem! No dobra, mam te swoje osiemnaście lat na karku, ale wciąż czuję się malutka! Jestem malutka! Taka drobna, taka delikatna, krucha niczym porcelanowa laleczka! Jeden ruch tego czegoś mógłby wgnieść mnie w ziemię, a co dopiero atak? Nie dam sobie rady... nie dam sobie rady... nie dam sobie rady, jestem tego prawie pewna!

Och, uspokój się, idiotko! Dam radę! Oczywiście, że dam radę! Nie po to ćwiczyłam w pocie czoła, żeby nawet nie spróbować! Nie po to

zarywałam noce i chodziłam dniami pół żywa! Nie po to... Do dzieła!

Głęboki wdech i spokojny wydech. Dam radę! Dam radę! Taaa... śnij dalej, głupia..

Spojrzałam poczwarze w jej lśniąco piekielnym ogniem ślepie. Byliśmy sami na polu walki. Puste boisko wśród drzew. Dobrze, że udało mi się go tu wyciągnąć. Teraz pora pokazać na co mnie stać. Zgiń, przepadnij, siło nieczysta!

# Rozdział 1

Ciekawe początki, a ciąg dalszy jeszcze ciekawszy

Wszystko zaczęło się jakiś miesiąc temu. Kwiecień, słoneczny dzień w moim rodzinnym Seattle. To było wydarzenie, jakich zdarza się ze sto na minutę na świecie, i mi także się przytrafiło. Szłam sobie spokojnie na zajęcia (jeśli nerwowy bieg spowodowany spóźnieniem można nazwać spokojem) kiedy nagle przede mną wyrósł niesłychanie szybko straszny, wielki, przerażający...

Krawężnik.

Ja, jak to ja, sierota życiowa, oczywiście musiałam się potknąć i już zaczęłam sobie wyobrażać, jak bardzo będę obdarta na kolanach i rękach, jak się ubrudzę i ośmieszę, ale coś sprawiło, że nie zderzyłam się nosem z twardą, chropowatą powierzchnią. To było raczej miękkie i miłe w dotyku, jakby beton zamienił się w jedwab. Zamknęłam oczy kiedy leciałam, a raz zaciśnięte później nie chciały się otworzyć.

– Nic ci nie jest? – usłyszałam czyjś głos nad uchem. Był cudowny. Pieścił mój wyczulony

na hałasy słuch swoim tonem, tak miękkim jakby to słowik wylądował na mojej głowie, tak miłym... czułym...

– Eee... co się stało? – Na inteligentną odzywkę z mojej strony szans nie było. Choć i tak poczyniłam postęp, bo otworzyłam oczy i rozejrzałam się wokoło. Tuż przy mnie klęczał jakiś mężczyzna. Zaryzykowałabym stwierdzeniem, że dość młody i z dobrego domu, bo wyglądał naprawdę elegancko w swoim granatowym garniturze.

– Upadłaś. Uważaj jak chodzisz. – Podniósł się, a ja dopiero wtedy poczułam, że tracę podłoże pod swoimi czterema literami i domyśliłam się, że to on złapał mnie w locie, przez co wylądowałam w jego objęciach. Dopiero później poczułam chłód i twardość chodnika, z którym zderzyło się moje podwozie. Nieznajomy spojrział na mnie pytająco. Wyglądał niesamowicie przystojnie. Latynoskie rysy jedynie dodawały mu uroku.

– Ja... ja... ja się tylko do szkoły spieszę, znaczy... na lekcje, szkoła, znaczy... po co ja ci... znaczy panu to mówię, znaczy... – zaczęłam się usprawiedliwiać, a że starałam się zrobić to szybko, to jak na złość mi nie wychodziło. Słowa

plątały się w dziwne, zupełnie bezsensowne zlepki. Chłopak był przystojny, a mnie takie sytuacje strasznie stresowały. Aż mi ręce drżały, co starałam się ukryć, chowając je za plecami.

– Jaki tam ze mnie pan...

Zaśmiał się i uniósł dumnie głowę. Jego kruczoczarne włosy załśniły w słońcu, które kilka sekund później trafiło wprost w moje źrenice, dotkliwie mnie przy tym oślepiając. Nagle zrobiło się strasznie biało i chłopak zniknął mi z oczu. Jęknęłam, zakrywając twarz rękami.

– O, przepraszam, moja wina. – Usłyszałam znów ten sam śmiech, po czym poczułam jak słońce zachodzi i mogłam otworzyć znów oczy. Spojrzałam raz jeszcze w górę i zobaczyłam wyciągniętą w moją stronę rękę. Na początku zdziwiona i wciąż zszokowana tym, że zderzenie z ziemią mnie nie zabolowało, w końcu chwyciłam męską dłoń i poczułam jak unoszę się do góry. Stałam z nim oko w oko, a właściwie oko w szyję, bo był ode mnie o głowę wyższy.

– To ja już chyba pójdę.

– Tylko nie wpadaj więcej na ludzi, niektórzy są naprawdę zajęci – powiedział, po czym wymamrotał coś jeszcze pod nosem, ale tego



już nie słyszałam, bo otrząsnęłam się i pobiegłam w stronę szkoły.

Całe szczęście zdążyłam na ostatnią chwilę. Odetchnęłam odrobinę spokojniej i z przyzwyczajenia odgarnęłam grzywkę na bok, a opadające na ramiona kosmyki włosów przesunęłam na jedną stronę. Zaczęłam szperać w torbie za zeszytem. Próbowałam przypomnieć sobie ostatnie zajęcia, ale kompletnie wyleciały mi one z głowy. Zapowiadał się ciężki dzień z fizyką. Na szczęście na sali był ktoś, kto wynagradzał mi trudy. Johnny. Wspaniały Johnny i jego słodkie loczki...

Tyle, że jego nie było! Pierwszy raz w historii! Jego miejsce zajął ktoś inny. Już zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem coś mu się nie stało, kiedy usłyszałam trzask drzwi. W głowie odbijał mi się każdy krok stawiany na starej skrzypiącej posadzce. Profesor Donavan.

Schyliłam się nad zeszytem, unikając jego wzroku. Człowiek mnie przerażał. Zresztą mam wrażenie, że nie tylko mnie. Wszyscy się go bali, bo gdy tylko stwierdził, że ktoś na niego krzywo spojrział, taki ktoś miał zapewniony niezaliczony semestr.

– Proszę nie udawać, że się pani uczy. I tak wiemy, że nie jest to prawdą. – Zatrzymał się nade mną, a ja z przerażenia mocniej ścisnęłam brzeg ławki. Przekonana o zbliżającym się wyroku na mnie, wykrzesalam na usta miły uśmiech i obróciłam do niego głowę.

– Ależ jak mogłabym się nie uczyć na pana lekcji? – zapytałam potulnie. Już otwierał usta, żeby mi odpowiedzieć, kiedy drzwi znów się otworzyły, a oczy wszystkich skierowały się na wpadające do sali promienie światła, z których wyłoniła się jakaś postać.

– Przepraszam za spóźnienie. – Wpadł zdyszany Johnny.

– Dziękuję, że łaskawie się pan w końcu zjawił, panie Jones. – Profesor obrócił się w jego stronę i przestał na mnie chuchać. Byłam wdzięczna Johnny’emu, że odwrócił jego uwagę. Kochany, jak zwykle mnie oswobodził. Jak można go nie kochać? Zawsze opiekuńczy, miły, kochany, wspaniały, cudowny, kochany...

– Wolne? – Zaskoczył mnie swoim pytaniem.

– Genialny – powiedziałam z rozpędu na głos, po czym chciałam się ugryźć w język.

Skuliłam się znowu nad zeszytem – Wolne. Tak, wolne – mruknęłam pod nosem i przepuściłam go obok siebie.

– Skoro już jesteśmy tu wszyscy, to może zaczniemy wykład? Panie Jones, pani Gardian?

– Tak, proszę pana – odpowiedzieliśmy jednocześnie i spojrzeliśmy na siebie krótko. Profesor westchnął do nieba i puścił po sali listę obecności. Wreszcie się uspokoiło.

– Nie ma za co – szepnął mi nad uchem ten jakże ukochany przeze mnie głos. Znowu zacisnęłam mocniej palce na brzegu ławki i poczułam jak moje policzki się czerwienią. To było irytujące. Reagowałam na niego jak zakochany dzieciak z podstawówki, którym już od dobrych kilkunastu lat nie byłam!

– Właśnie miałam powiedzieć „dziękuję” – starałam się zreflektować, ale zareagował cichym śmiechem. Jeszcze bardziej mnie zestresował. Chciał się znowu odezwać, ale przerwały mu śmiechy z wcześniejszych ławek. Dziewczyny zaczęły się wyśmiewać, że Johnny broni swojej nowej dziewczyny, po czym obgadały mnie od góry do dołu. Jessica była najgorsza. Blondynka wycięta z przewodnika po modzie i najnowszych

trendach. Jej zawsze wszystko uchodziło na sucho, bo ojciec był jednym z fundatorów szkoły. Wszyscy byli na jej usługi, a ta wytapetowana laleczka okręcała ich sobie wokół palca.

Uniosłam na chwilę wzrok by przekonać się, że moje policzki nie bez powodu się czerwienią, a wszyscy naprawdę spoglądają w naszym kierunku. Szybko schyliłam się ponownie, modląc się w duchu by profesor kogoś zapytał, a wtedy wszyscy wrócą do wcześniejszych póz udając, że są zainteresowani wykładem. Zacisnęłam pięści do białości, ale wiedziałam, że na nic moja interwencja, bo jeszcze bardziej mi się oberwie. Pochylona nad zeszytem zaczęłam bazgrać coś bez sensu na marginesie wyładowując gniew na długopisie. Niestety ich uszczypliwe komentarze nie ustawały przez całą godzinę, a ja byłam coraz bliżej płaczu.

Nagle poczułam, że coś przesuwają się po moich palcach. Podniosłam wzrok zszokowana. To była ręka Johnnego! Coś podobnego! On mnie dotykał!

– Przepraszam cię za nie – powiedział przyjaznym tonem. Czuję, że i on na mnie patrzy, ale nie byłam w stanie spojrzeć na niego.

Za dużo emocji, za dużo wrażeń, za blisko mnie był.

– Nic się nie stało, niektóre pustaki już tak mają. – Wyprostowałam się nagle i powiedziałam to dość głośno. Nie wiem, co we mnie wstąpiło! Wszyscy z zadziwieniem spojrzeli na mnie, a na skulenie się było już za późno.

– Czy ty nazwałaś mnie...? – zaczęła Jessica, ale profesor oznajmił koniec wykładu i wszyscy, zbawiennie dla mnie, ruszyli do drzwi. Wymknęłam się niepostrzeżenie i cudem udało mi się uniknąć gniewu elity.

Szłam starą, sprawdzoną drogą. Zatrzymałam się na chwilę w miejscu, gdzie rano upadłam. Słońce było teraz po przeciwnej stronie, a dzień chylił się ku końcowi. Przypomniłam mi się ten mężczyzna, który rano uratował moje kości przed obiciem.

– Nawet nie poznałam imienia wybawcy. – Zaśmiałam się sama do siebie i ruszyłam w dalszą drogę.

Nagle coś wyrosło przede mną na środku jezdni! Jak słowo daję, wcześniej tego tam nie było! Jakaś siła pociągnęła mnie za rękę do tyłu, a

gdy otworzyłam oczy, znowu zobaczyłam jego. Tego samego faceta, którego spotkałam rano.

– Widzę, że nie wzięłaś sobie moich słów do serca – warknął groźnie, a ja odruchowo się cofnęłam. Złapał mnie za rękę i przyciągnął. Poleciałam jak kłoda, bo zrobił to mało delikatnie. Prawie się wywróciłam!

– I za to chcesz mnie pobić?

– Pobić? – Zaśmiał się głośno. – Jeszcze chwila i wśląbyś pod samochód, kaleko.

– Wypraszam sobie, nie jestem kaleką, to ty mnie pociągnęła... eee... pod samochód? – zdziwiłam się. Rzeczywiście za mną jechał samochód, którego wcześniej nie zauważyłam. Czyli wynika z tego, że chłopak znów mnie uratował, a ja się zbłądziłam. Ile razy miało to mnie jeszcze tego dnia spotkać?

– Tak, pod samochód.

– Czyli... dziękuję... chyba. – Podrapałam się po głowie. Cóż zrobić w takiej sytuacji? Niewiele opcji miałam do dyspozycji. Zwłaszcza, że myślenie w stresie mi nie wychodziło.

– Idź już do domu – ponaglił, machając na mnie ręką i odszedł w swoją stronę.

– P...poczekaj – wydusiłam z siebie tępy pisk. Odwrócił się jakby przestraszony i zmierzył mnie od głów do stóp, sprawdzając czy jeszcze jestem cała.

– O co chodzi, Ivy? – zapytał.

– Chciałam tylko zapytać, jak masz na imię.

Zaśmiał się w odpowiedzi i odwrócił się w swoją stronę, stawiając kolejne kilka kroków.

– Brus Forbs – odpowiedział ledwo słyszalnie i odszedł.

– Brus – powtórzyłam i starałam się zapamiętać na przyszłość to imię, bo on był... żeby nie skłamać, bardzo przystojny. – Brus – powiedziałam raz jeszcze, obserwując jak znika z mojego pola widzenia i skręca w następną ulicę. – Chwileczkę! Ale skąd ty znasz moje imię? – zapytałam już samą siebie, bo zdałam sobie sprawę z jego nieobecności, jak to na mnie przystało, zbyt późno. Ruszyłam biegiem za nim, ale gdy zobaczyłam pustą ulicę, zrozumiałam, że już go nie znajdę.

Zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem tak szybko znalazł się koło mnie rano i jak to możliwe, że pojawił się nagle przede mną po południu. Intrygował mnie ten Brus, a jednocześnie nie

mogłam zapomnieć o niesłuchaniu miłym zachowaniu Johnnego. Długo wierciłam się na łóżku, patrząc w gwiazdy świecące za oknem, aż w końcu mnie zmorzyło i zasnęłam. Kiedy się obudziłam, słońce świeciło nad moją głową. Nie byłam już w łóżku, a na jakimś polu. Wkoło pachniało świeżo skoszoną trawą, a nad głową słyszałam ćwierkające wróbelki.

– Jak tu pięknie – pomyślałam, jednak moje myśli były tak głośne, jakbym to powiedziała na głos. Zdziwiłam się i podniosłam z trawy, otrzepując białą sukienkę. Spodziewałam się, że znajdę na niej gigantyczną plamę od rosy i trawy, ale była idealnie czysta.

Zaczełam się zastanawiać, gdzie ja właściwie jestem. Było pięknie, ale w okolicach Seattle takich miejsc nie było. Zwłaszcza, że nie pamiętam bym ruszała się z domu. Zrobiłam krok do przodu, dostrzegając jednocześnie miękkość trawy oraz fakt, że nie mam na nogach butów.

Następny krok był dla mnie zgubny, gdyż po raz setny się z czymś zderzyłam!

– O nie! Tak dobrze to nie będzie! Teraz ty uważaj jak chodzisz, Brus! – wydarłam się. Rozmasowałam czubek głowy i odeszłam krok do



tyłu. Przede mną nie stał Brus. Nie wiem w ogóle skąd mi się wzięło, że to mógł być on.

Przed sobą miałam parę błękitnych, niesłychanie wielkich oczu należących do dziwnego chłopaka. Kosmyki jego bujnej czupryny odstawały w każdą stronę świata. Ciemny blond idealnie współgrał z jego śnieżnobiałą koszulą i jasnymi džinsami. Wyglądał na zdziwionego. Przyglądał mi się, wdzierając się w moją strefę komfortu. Prawie czułam jego oddech na skórze. Unosił się ze trzydzieści centymetrów nad ziemią. Wyciągnęłam rękę w jego kierunku. Chciałam sprawdzić czy na czymś nie stoi, albo czy nie ma przyczepionych sznurków, na których się unosi. Odsunął się przestraszony i przybrał postawę obronną. Spojrzałam na niego całkiem zdezorientowana, a po chwili on także stanął normalnie na ziemi i przyglądał mi się jeszcze uważniej, jednak tym razem z odległości.

– Nie zaatakujesz mnie? – Wyglądał na zdziwionego. Co w takim razie ja miałam powiedzieć? Atakować? Chłopaka? Mimo jego mizernej postawy i tak nie dałabym mu rady, zresztą niczym mi się nie naraził.

– Dlaczego miałabym cię atakować? – zapytałam równie zdziwiona. Spojrzał na mnie pytająco, chwilę milczał, po czym wybuchł śmiechem, a że śmiesznie się śmiał to i mi się wesoło zrobiło. Najczęściej śmieszył mnie właśnie czyjś śmiech, a nie żarty, które ludzie opowiadali.

– Nie wiesz dlaczego miałabyś mnie atakować? Jaja sobie robisz? To zabawne! – Zaśmiał się. Złapał mnie za ręce i unióś w powietrze, kręcąc piruety. Wciąż nie rozumiałam o co chodzi, ale jego dobry nastrój mi się udzielał.

– Co jest zabawne? – zapytałam, gdy znów zbliżyłam się stopami do ziemi. Postawił mnie i spojrzał pytającym wzrokiem.

– Ty naprawdę nie wiesz?

Nie wiedziałam, o co mu chodziło, ale martwiło mnie, jeśli ktoś twierdził, że miałabym go atakować, a ja nic o tym nie wiedziałam. Nie naraził mi się niczym, nawet go nie znałam. Dlaczego więc twierdził, że chcę go bić? To niedorzeczne.

– Nie mam pojęcia. Kim jesteś? Czy my się znamy? – Podeszłam o krok, a on zaśmiał się cicho pod nosem, zakrywając usta.

– Nie znasz mnie? Straciłaś pamięć? Jestem Angelo – odpowiedział. Wyjrzał zza palców swoim głębokim, przenikliwym spojrzeniem.

– Jesteś aniołem? Moim stróżem? Czy... czy to znaczy, że umarłam? Czy... – zawahałam się. Może jednak wpadłam pod ten samochód, a Brus mi się tylko przyśnił? Może już dawno po mnie, a ja... znalazłam się w... niebie? Wątpiłam w to. Jeśli już, to byłabym w czyśćcu, ale co tam robił mój stróż? Czy przyszedł mnie rozliczyć z życia? Tak to wygląda? Całe lata modliłam się do niego, aby mnie strzegł, a później nadszedł czas na rozliczenie?

Zaśmiał się histerycznie.

– Nie mogę w to uwierzyć. Mary, naprawdę mnie nie poznajesz? Nie pamiętasz naszych starć? Nie uraczysz mnie choć jedną docinką? Mary, Mary... – Zaczął mi się znowu przyglądać z bliska, tańcząc dookoła mnie. – Może to jakaś twoja gierka? Chcesz, żebyśmy poczuł się pewnie, a potem masz zamiar mnie pokonać... znowu ci się nie uda.

– Nie rozumiem. Aniele, dlaczego miałabym chcieć cię pokonać? Poza tym nie nazywam się Mary – wytłumaczyłam.

Przyglądałam się jego radosnym płasom. Zatrzymał się przede mną i położył mi wianek ze stokrotek na głowie. Skąd go nagle wziął? Nie miałam pojęcia. Zbliżył się w moją stronę.

– Nie jestem aniołem, nazywam się Angelo, a ty jesteś Mary. Przejrzałem cię, nie musisz więcej udawać – szepnął tuż przy moim uchu. Musnął mnie w usta, a ja obudziłam się w środku nocy.

– Co się stało? – zapytałam samą siebie. Rozejrzałam się dookoła. Serce strasznie szybko mi biło, a wokół rozciągała się ciemność. Tylko gwiazdy jaśniały na niebie, wskazując późną porę. To był tylko sen. Dziwny, lecz wciąż sen. Położyłam głowę z powrotem na poduszce, ale nim zasnęłam - a byłam pewna, że nie śpię - znów usłyszałam ten wesół śmiech. Podniosłam się jak oparzona i wystrzeliłam do okna. Nie dostrzegłam jednak niczego niepokojącego.

Najwyraźniej wyobraźnia płatała mi figle i tyle. Za dużo się filmów na oglądałam. Powinam z tym skończyć. Od dziś koniec z horrorami, thrillerami, a filmy sensacyjne ograniczam do minimum. Przerzucę się na komedie romantyczne,

romanse i telenowele. O tak, życie od razu stanie się piękniejsze.

Litości, dobrze wiem, że nie dam rady się zmienić, ale spróbować zawsze warto. Może losy jakiejś Rosalindy i Armanda mnie wciągną? Może seria ich romantycznych samobójstw mnie zainteresuje?

Błagam... nie jestem przedszkolakiem, żeby wierzyć w takie bajki. Coś mało interesujące wydaje się oglądanie świątecznego odcinka „Mody na sukces”, który trwa przez dziesięć odcinków. Paranoja i tyle. To nie dla mnie, zdecydowanie nie dla mnie.

Kolejny raz zasnęłam znacznie szybciej, ale nie pamiętam by coś jeszcze mi się śniło. Obudziłam się we własnym łóżku, przeciągając się i ziewając głośno. Mlasnęłam kilka razy i spojrzałam na zegarek.

No nie! Znowu spóźniona!

Wystrzeliłam jak torpeda i zaliczyłam kolejny ekspresowy poranek. Tym razem jednak biegnąc na lekcje, trzy razy spoglądałam w każdą ze stron, a chodniki przeskakiwałam jak sarna. Nic na szczęście nie wyrosło przede mną i szczęśliwa zajęłam na sali swoje miejsce. Było raczej gwarно,

bo nauczyciel jeszcze nie dotarł, a mnie w uszy rzuciło się tylko jedno. Johnny. Coś mu się stało.

Ostatnio zdarzał się cud za cudem. Brus mnie uratował, Johnny się do mnie odezwał, znowu Brus mnie uratował, a potem przyśnił mi się Angelo. Trzeba było do tej listy dopisać, że Johnny sam z nieprzymuszonej woli usiadł znów koło mnie.

– Cześć, wolne? – zapytał. Ciężko było w to uwierzyć, ale tym razem starałam się być twarda i nie wyjść na skończoną kretynkę.

– Jasne, tu zawsze jest wolne, możesz siedzieć, ile chcesz – odezwałam się. Byłam z siebie dumna. Głos nawet mi nie zadrżał. Mało tego, uśmiechnęłam się miło, zamiast się wyszczerzyć i spłonąć rumieńcem.

– Dzięki za pozwolenie. Chcę teraz. – Z uśmiechem zajął miejsce.

– Więc... słyszałam, że coś się wczoraj stało. Dobrze się czujesz?

– To nic takiego. Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami. Zapomniałem o śniadaniu i tyle. Już rozniosło się po całej szkole?

Chyba nie powinnam była być aż tak bezpośrednia. To jego prywatna sprawa.

– To źle, śniadanie to najważniejszy posiłek dnia. A o chłopaku Jessici wszyscy wszystko wiedzą.

Uniosłam się w krainę marzeń i rozważań. Gdyby Jessica znikła z powierzchni ziemi... Johnny byłby wolny, a ja mogłabym wreszcie do niego wystartować wyznając mu miłość. Naprawdę. Jeśli zerwą to przy pierwszej rozmowie z nim powiem co czuję. Wreszcie się odważę, będę dzielna i powiem mu to. Może on też odwzajemni moje uczucie? Może...

– Nie jestem już z nią. – Z zamyślenia wyrwał mnie jego głos.

Co?! Nie jest?! Znaczy... zerwali?! O radosny dniu! To znaczy, wróć! Żartowałam z tym wyznawaniem miłości! Nie odważyłabym się powiedzieć co czuję, za żadne skarby. Co jakby tego nie odwzajemniał? Pękłoby mi serce!

– Nie? – pisałam podekscytowana. Czy kwiecień mógł skończyć się lepiej? Życie nareszcie nabrało barw wraz z przyrodą budzącą się ze snu.

– Rozstaliśmy się. Niezgodność charakterów – stwierdził dość wesoło. Tak jak wcześniej nie byłam w stanie choćby na niego

spojrzeć, w obawie przed jego cudownym spojrzeniem, tak teraz bezwstydnie się w niego wpatrywałam. On za to spoglądał na ławkę z delikatnym uśmiechem na ustach.

– Rozumiem, to chyba najgorsze co może być, choć podobno przeciwieństwa się przyciągają – starałam się go pocieszyć, czy coś w tym stylu. Nie najlepiej mi to jednak wychodziło, bo tylko spochmurniał i mocniej ścisnął brzeg ławki.

– Może i się przyciągają, ale na dłuższą metę się nie sprawdzają.

– Zawsze trzeba mieć nadzieję na...

– Nadzieja matką głupich, Ivy. Nie bądź naiwna. – Ukrócił mój wywód, zanim zdążyłam się rozgadać.

– Cóż, taka już jestem. – Uśmiechnęłam się sama do siebie. Po części nie dowierzałam, że on zna moje imię. – Ale wierzę w przeznaczenie i inne takie głupoty.

– Przeznaczenie? Przeznaczone to jest nam tylko umrzeć.

– Nie mów tak. Jesteśmy na świecie po to, żeby się cieszyć życiem. Skończ z tymi smutkami. No dalej, uśmiechnij się – poleciałam. Nagle zebrałam się na odwagę by normalnie się do niego



odezwać, w czasie gdy zwykle jedynie udało mi się palnąć głupie zdanie, które go zniechęcało. Sukces.

– Wiesz, Ivy? Masz rację. – Odetchnął z widoczną ulgą. – Co robisz jutro po szkole? Masz jakieś zajęcia? – zapytał, wywołując we mnie nagły i trwały szok psychiczny.

– Ja...a... znaczy... eee... bo... nic... nie mam nic w planach, a... a... po co pytasz? – wydukałam z trudem.

– Może wybierzemy się na spacer? Słońce tak pięknie świeci, szkoda marnować dnia w domu – zaproponował. Myślałam, że doznam zawału, tak szybko mi serce waliło.

Weź się w garść, weź się w garść – powtarzałam sobie w myślach, ale wciąż nie mogłam opanować pulsu pędzącego na zabicie.

– Z chęcią – odpowiedziałam. Już czułam jak płoną mi policzki, więc czym prędzej wlepiłam nos w kartkę. Byłam naprawdę zajęta udawaniem, że jestem zajęta. Kiedy lekcja się skończyła, wypaliłam pędem z klasy i najkrótszą drogą pobiegłam do domu. Po drodze podskakiwałam z radości i śmiałam się tak, że przechodnie zaczynali się patrzeć na mnie jak na obłąkaną. Nie

zwracałam nawet na to uwagi. Zbyt szczęśliwa byłam.

I przez to szczęście znów na kogoś wpadłam. Tym razem była to definitywnie moja wina, a kobieta wylądowała na trawniku.

– Najmocniej przepraszam! Nie chciałam! – zaczęłam się usprawiedliwiać. Liczyłam na to, że uśmiechnie się miło i powie: „Nic nie szkodzi”, a ja będę mogła dalej robić z siebie pirata drogowego i cieszyć się od ucha do ucha. Blondynka jednak spiorunowała mnie wzrokiem, zwinnie podnosząc się z ziemi. Miała na sobie coś a’ la lekarski fartuch, tyle że znacznie szykowniejszy. Wyglądała na trochę powyżej dwudziestki, choć styl ubierania dodawał jej lat. Ta dostojność skojarzyła mi się ze szlachtą, albo jakąś rodziną lordów brytyjskich.

– Niewychowana dziewczucha. – Wymamrotała pod nosem, stając ze mną oko w oko. W słońcu zalśnił jeden z jej kolczyków. Kobieta była na pewno bogata, przynajmniej takie wrażenie sprawiała.

– Ja naprawdę nie chciałam, to był przypadek. Wiem, jestem głupia i nierozważna, wybaczy mi pani? – zapytałam uniżonym tonem.

Przyjrzała mi się dokładniej i w podobny sposób, jak ten facet dzień wcześniej, zmierzyła mnie wzrokiem. Szeptala coś sama do siebie, po czym złapała mnie za rękę i bez słowa za sobą pociągnęła.

– Proszę pani, ale po co od razu na policję? Przepraszam. Odkupię pani spodnie, zrobię co pani będzie chciała, ale proszę mnie nie ciągnąć na policję, przecież nic złego się nie stało. Złamała sobie pani coś? Naprawdę przepraszam – zaczęłam panikować. Nie mogłam wyrwać ręki z jej uścisku. Dlaczego zareagowała aż tak ostro? Bałam się jej!

– Och, zamknij się. Nie idziemy na policję – poinformowała i w dalszej drodze nie zareagowała ani słowem na moje jęki i próby ucieczki. Przestraszyłam się na poważnie, że chce mnie porwać. Gdzie byli ci wszyscy super bohaterzy kiedy ich potrzebowałam? Bałam się nawet pisnąć: „Pomocy!”, zresztą nic by mi to nie dało, bo ciągnęła mnie takimi uliczkami, że śladu człowieka nie było widać. Wreszcie zatrzymała się przy jednych ze drzwi, które otworzyła kartą magnetyczną. Wepchnęła mnie do środka.

– Siadaj – poleciła. Rozejrzałam się panicznie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Było to

na pozór zwykłe mieszkanie bardzo zamożnej rodziny, jednak kryło się w nim coś mrocznego i tajemniczego. Kobieta podeszła w moim kierunku, a ja cofnęłam się aż wylądowałam na dużym, czarnym fotelu, stylowo dopasowanym do wnętrza. Blondynka przeszła obok mnie i wcisnęła włącznik światła, który okazał się być jakimś innym urządzeniem. Rolety zjechały w dół po ogromnych oknach, tworząc w pomieszczeniu atmosferę grozy.

No, to teraz mnie zabije. Dlaczego musiałam wpadać na jakąś wariatkę, zabójczynię? Dlaczego ja? Za jakie grzechy? Przecież byłam grzeczna. Wracałam prosto do domu, nie piłam, nie przeklinałam, nie kłamałam nawet – jestem wzorem cnót. Boże, nie daj mi zginąć z ręki psychopatki – zaczęłam się modlić.

– Teraz posłuchaj uważnie, Ivy, bo powtarzać pięć razy nie będę – zaczęła.

– Skąd pani zna moje imię?! – pisnęłam z każdą minutą coraz bardziej przerażona, choć wydawało mi się, że bardziej już nie można.

– To teraz najmniej istotne. Zamknij się i słuchaj! – podniosła głos, wyraźnie zdenerwowana moją obecnością.

– Ale... – chciałam się odezwać, ale gdy jej ręka zawisła nam moją głową, zamarłam i nie dokończyłam. Bałam się. Bardzo się bałam.